

Opowiadanie, które chciałbym napisać, byłoby falstartem: zamiast jednoznacznego potępienia czynów bohatera, dobrotliwie pozwoliłbym uwierzyć w jego niewinność, a przedstawiam go w roli moralnego czyścioszka wyprowadzonego w pole. Mój bohater powołuje się na wołające o pomstę do nieba, kafkowskie dzieciństwo polegające na braku ciepłej wody. Przysięga, że to jej nieobecności zawdzięcza garowanie pod celą.

Wyrzeka na okoliczności, na partackie warunki przeszkadzające mu w prawidłowym odpajkowaniu pokuty. Do tej czarnej listy dochodzą źli koledzy ze swoimi przebrzydłymi narowami oraz niepojęty skandal z karygodnym występowaniem plam na słońcu. Tkwiący w opowiadaniu Niezłomny Człowiek, uwolniony od udręki zwykłych uczuć, tworzy sobą zaczyn, jeszcze nie uformowaną plazmę. Ciekłą i teoretycznie twardą bryłę; materię oczekującą na nowego rzeźbiarza.

Sadystyczni koledzy spod celi i okrutne siły przyrody, depcząc mu po życiorysie, powodują, że wyswabza się spod inspekcyjnego oka rodziny i zakłada własną. Obiecuje sobie, że będzie inna od poprzedniej, w której był piątym kołem u woza. Po roku przygnębiających rozmyślań na swój niepokieszony temat, idzie do pracy. Idzie do pracy, ponieważ jeszcze nienarodzone maleństwo już domaga się papu, a ślubna, którą godziwie zaniedbuje w porze na lunch, a uwielbia podczas kolacji ze świecami, puszcza się jego humorzastych gaci.

Ma go powyżej lub poniżej i wkracza na wojenną ścieżkę zdrady. Coraz częściej, zwawiej i na cały rozdzierający głos, narzeka mu na wycieraczkę pod drzwiami. Wreszcie przenosi się do słoniowatej zołzy zwanej matulą i zabiera ze sobą dzieciątko płci męskiej. Nie mówiąc, czy i kiedy, oraz z kim wróci, pozostawia go w dygotliwych rozterkach, on zaś stwierdza z przestachem, że jego lotny, dotychczas niezawodny umysł, który pozwalał mu na człapanie po cudzych przeżyciach, odmawia mu posłuszeństwa.

Razem z jej odejściem, na fabularnym horyzoncie pojawia się imię bohatera: dotąd pętał się po opowiadaniu jako anonimowy knypek bez wyraźnie zaznaczonych, mentalnych konturów, teraz jednak okazuje się, że ma nie tylko problemy, ale posiada twarz, którą można nazwać. Czytelnik dowiadyuje się zatem, że na chrzcie nadano mu szorstką i ochryplą ksywę Benek.

Benek, po pijaku startujący z pięściami do każdego, kto nie chciał uwierzyć mu na słowo, że w głębi duszy jest wysoki, chce cierpieć sam, bez współczującej asysty pobocznej grupy ludzi. Mija mu spontaniczny okres dreptania po gadulstwie. Prawienia o rzeczach zrozumiałych i oczywistych. Wpada w depresję, a uczucie krzywdy zaczyna mu przesłaniać rzeczywistość. Do tego stopnia, że wszystko, co stawało się pożywką dla jego myśli, musiało zostać przetworzone przez filtr przygnębienia, czarnowidztwa i beznadziei.

Ubolewa nad sobą; jest mu teraz z tym mazganiem się tak landrynkowo, tak dobrze, że ani chce, ani może wyzwolić się ze zdziwienia, iż niegdyś potrafił żyć bez defetyzmu.

Z początku sądzi, że jest to przejściowy, banalny prodrom wyniszczenia, że wystarczy odpocząć, by mu zapobiec, lecz gdy zauważył, że podczas nocy i dni spędzonych na nieczytaniu, niesłuchaniu i leżeniu w abnegackiej ciszy, w izolacji od zewnętrznych sygnałów, nie nadciąga do niego z odsieczą żaden zwiaśtun poprawy, a dotychczasowe życie traci poprzedni sens, że rozpoczynają się w nim przedwcześnie spóźnione konstatacje, pojawiają się eschatologiczne pytania, które mogłyby sobie zadać na początku dro-

gi przez potłuczony świat, a nie na jej końcu, nie w decydującym momencie dobiegania do Tartaru; nie w trakcie przepływania przez Styks!

Wszystkimi zmysłami boleśnie w i e, że jego życie przetrwoniło mu się przez palce. Ma więc nieustanne wrażenie tkwiącej w nim obcości. Gnębiącego poczucia rozwarstwienia tego, co było w nim przedtem i odseparowania od tego, co spotyka go teraz. Rodzi się w nim gniew. Sprzeciw tak gwałtowny, że gdy przybiera niekontrolowane rozmiary, woli nie wychodzić z domu, nie widzieć nikogo, trząść się na własną rękę.

Z początku jest zafascynowany samotnością. Tym, że omija go zrzędliva krzątanina przyziemnych sensacji. Lecz już niebawem przyczepia się do jego świadomości znękanie spostrzeżenie: gdy wraca do swoich czterech kątów, od progu wita go ta sama, monotonna ogłuszająca pustka.

Po okresach daremnego wsłuchiwanie się w echa szelestów jej sukien, pogłosów rozgaworzonego, nieobecnego śmiechu potomka, krwi ze swojej krwi, zaczyna przestawać wierzyć w moc spadających gwiazd i traci zainteresowanie dla tego, co pod podłogą, za oknem, za ścianą, za torami. W to, co przed utratą zamykało jeden i otwierało drugi etap. W jego terażniejszej egzystencji można znaleźć sporo miejsca na zwątpienia, cynizmy i sarkazmy.

Tu i ówdzie pojawiają się w nim złośliwe ogniki, personalne wycieczki, nieszkodliwe aluzje. Odgrywa przed sobą pokrzywdzone bobo, lecz tylko wtedy, gdy nikt go nie odwiedza. Jak wówczas, gdy, w skrywanym oburzeniu, przyznawał jej niechętną rację, że byli niedobraną parą. Jak wtedy, gdy ich kłótnie były podkreślaniami swoich zalet i obniżaniem rangi własnych wad. Tylko i wyłącznie wtedy, gdy była za daleko, by odnieść wrażenie, iż, bez pomocy nastrojowych świec, mogą być szczerzy.

\*

Siedzi w jednym miejscu, na tapczanie, burkliwy, niekomunikatywny, pogrążony we wspomnieniach i jałowych kontemplacjach. Nic nie może skłonić go do wyrwania się z melancholii. Jeżeli na początku tapczanowych refleksji wydawało mu się, że jest w stanie zapanować nad swoją wolą i wrócić z dalekiej podróży, to w miarę emocjonalnej zapaści, wola, pragnienie otrząśnięcia się z beczynności, te zracjonalizowane i jakże wygodne metody zabijania czasu, zaczęły mu odpowiadać, zaczęły go usprawiedliwiać, *wyjaśniać* go bez jego udziału.

Starczy, że spogląda w przeciwną ścianę, a jego wzrok już przejmuje inicjatywę, wyręcza go i podejmuje się wytłumaczenia, dlaczego tkwi na tapczanie. Uzmysławia wszystkim świadkom degrengolady, że otopświęca się cierpieniu; bez wysiłku mówienia. Przyznaje się do jego pomyłek i do grzechu naiwności.

Dzieje się to jakby poza nim. Jakby za wstawiennictwem wyrazu oczu, które za niego odwalają czarną robotę spowiedzi. Ale po psychicznej kwarantannie i przetrwaniu swojej porażki, niewydarzone myśli przestawały go dręczyć. Stupor zmienia się w konieczność walki. W potrzebę podejmowania nowych wyzwań. W konieczność sprostania teraz już spokojniejszej i świadomej aktywności: ponownie zaczyna interesować się życiem. Lecz nie tym, co przedtem, zewnętrznym, widzianym potocznym okiem, tylko tymi jego przejawami, które nie dawały się wtłoczyć w jednoznaczne słowa. Podać na talerzu. Tym, co przebiegało w środku, w bebechach psychicznych mechanizmów, ukrytych sprężynach, motywach i namiętnościach każącym podjąć się działania.

Poprzednie życie, które go zniszczyło i rozczarowało, które zmusiło go do lawirowania wśród zastrzeżeń,

było nie jego. Jego nie było pozoranckie i zagonione do kąta, zaszczone otępiąłem siedzeniem na tapczanie, ale tym, w którym wolno mu było poruszać się w swoim rytmie, bez obawy, że znowu zostanie sam, zdradzony. Porzuca więc dotychczasową bierność; wchodzi w świat gwarantujący mu własne przeżycia. Jednak spóźnione powroty do przeżyć uważanych za własne, nie należą do uspokajających decyzji. Przeciwnie; im głębiej w nich się zanurza, tym więcej narasta w nim wątpliwości.

\*

Opowiadanie byłoby pomyłką. Z nieczytelnych powodów, w połowie tekstu, przeszedłbym od ciemnych, przeładowanych westchnieniami tonacji i przestroiłbym się na rozrzutne, zamaszyste pacykowanie jaśniejącymi barwami, co pozwoliłoby mi zrezygnować z patosu, przeniknąć przez drwiące, myślowe palisady, ostrokoły, zapory nie do przewyciężenia.

Tak czy siak, gdzie nie spojrzysz i czego nie zrobisz, od tej pory widzi się w dwójnasób. Jeszcze przed chwilą przegrany, a tuż po niej, ma do wszystkiego i wszystkich podniosły stosunek; bawi się dostrzeganiem nieskrępowanego życia. Dawniej pospiesznie mijany świat, teraz przykuwa jego uwagę: wart jest ponownego poznania, bo dzisiejsze słońce świeci mu bez wczorajszego *memento mori*.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

---

OWSIANKO, dodano 04.03.2024 15:27

Dokument został wygenerowany przez [www.portal-pisarski.pl](http://www.portal-pisarski.pl).